

Dawno, dawno temu mieszkaliśmy z mamą i tatą oraz rodzeństwem w małym mieście nad polskim morzem.

Nasze morze nazywa się Bałtyk i jest piękne. Bardzo lubiliśmy chodzić na spacerów wzdłuż plaży, w lecie kąpaliśmy się i skakaliśmy wśród fal morskich. Morska bryza chłodziła nasze spalone słońcem ciała. Jesienią nad morzem było zimno i wiał wiatr. Czasem szalał sztorm, morze wtedy było wzburzone. Po sztormie wszyscy wychodzili na plażę, by próbować zbierać bursztyny. Nie jest to łatwe, trzeba cierpliwie szukać. Czasem udało się i wtedy była wielka radość.

Nasza babcia i dziadek, czyli mama i ojciec naszej mamy, mieszkali na Śląsku, na wsi w małym domku. Domek był murowany z czerwonej cegły, bardzo długi. Takie domki na Śląsku nazywano jamnikami.

Psy jamniki też są długie, chociaż niskie, stąd taka śmieszna nazwa dawnego stylu architektury na wsi.

Dziadkowie mieli ładnie zagospodarowany ogródek warzywny i sad owocowy. W ogródku hodowali ziemniaki, cebulę, ogórki i pomidory oraz wiele innych smacznych warzyw. Osobny zagon stanowiły zioła. To była moja ulubiona grządka, bo zawsze pięknie tam pachniało. Babcia wykorzystywała zioła do wszystkiego: służyły do przyprawiania gotowanych potraw, pieczonego mięsa i zup. Mówiła, że zioła są używane w kuchniach całego świata. Świeże lub suszone liście, łodygi lub kłacz podnoszą walory smakowe i zapachowe dań i nadają im wspaniały aromat. Czasem babcia parzyła herbatkę z ziół. Z mięty – na ból brzucha, a z melisy – na ból głowy. Zaś z rumianku lub szalwii – przeciw przeziębieniu. Wiadomo, że mięta nadaje się jako dodatek do słodkich potraw. Ale babcia miała też swoje sekretne sposoby. Na przykład latem parzyła kawę z dodatkiem paru listków świeżej mięty. Kawa wtedy bardziej orzeźwiała. Albo zaparzała liście mięty jak herbatę. Taki zimny

napój świetnie gasił latem pragnienie. Bazylie, majeranek, miętę i rozmaryn dodawaliśmy do mięs i zup. Miętą dekorowało się też budyń lub kisiel i dodawało do kompotów z jabłek lub gruszek. Zielona pietruszka i szczypiorek ozdabiały sałatki z pomidorów, ogórków i ziemniaków.

Na wakacje cała nasza rodzina wyjeżdżała na wieś do dziadków. Mama i tata odpoczywali lub pomagali dziadkom w ogródku albo w sadzie. Mama pielęła grządki, a tato pomagał dziadkowi rąbać drzewo i palić w piecu. W domu nie było gazu, tylko kaflowe piece. W kuchni długi, biały piec, na którym przyrządzało się gorące posiłki; lubiliśmy posiedzieć się przy nim, jeszcze ciepłym po kolacji. Wtedy rodzice i dziadkowie słuchali radia lub rozmawiali, a my graliśmy w jakąś grę, na przykład chińczyka, warcaby lub szachy. Wszyscy siadali niekiedy wokół kuchennego stołu i grali w monopola. Zawsze wygrywał tato, bo umiał kupować i sprzedawać różne domy i hotele – ale tylko na niby. Mówił, że takie inwestycje udają mu się tylko w grze, a nie w życiu. Mama śmiała się z niego i mawiała, że tato nie ma głowy do interesów, bo jest zbyt naiwny. W istocie tato nie był naiwny, tylko uczciwy.

Pewnego dnia dziadek podarował nam nowy aparat fotograficzny. Poprosił, by po powrocie, podczas naszych spacerów nad morzem, zrobić zdjęcia i potem wysłać im na wieś. Obiecaliśmy, że na pewno nie zapomnimy tego zrobić. Tato zauważył, iż na wsi też są ciekawe rzeczy, których nie ma nad morzem, i powinniśmy nauczyć się fotografować.

Tak rozpoczęła się nasza przygoda z fotografią.

Sztuki tej uczył nas tato. Miał do nas dużo cierpliwości. Trzeba było pamiętać o grze światła i cienia oraz o tym, by na zdjęciu widać było to, co naprawdę jest ciekawe. I czego nikt jeszcze nigdy nie pokazał. Mówił, że mamy bardzo uważnie wybrać fotografowany obiekt i przemyśleć całość kompozycji.

Najpierw zrobiliśmy zdjęcia mamie i tacie, potem dziadkom. Portrety rodziców i dziadków oprawiliśmy w drewniane ramy za szkłem. Potem babcia powiesiła je w pokoju zwanym salonem. Śmiało się, że to nie salon, ale *saloon*, bo dziadek miał na głowie swój ulubiony kapelusz i wyglądał jak kowboj. Po angielsku

cow – znaczy krowa, a *boy* – oznacza chłopca. Słowo *cowboy* niektóre słowniki tłumaczą jako „konny pastuch, zaganiacz bydła”. Ale aktualnie nikt tak nie powie. W dzisiejszych czasach trudno spotkać pastucha albo pastuszka, bo prawie wszystko robione jest automatycznie. Zamiast zwykłego pastucha, zainstalowane są elektryczne. Są to płoty zrobione z drutu podłączonego do prądu. Krowa nie może uciec z pola, bo elektryczny pastuch nie pozwala jej na to.

Natomiast krowiarka albo dziewczyna zaganiająca krowy – to oczywiście *cowgirl*. Bo słowo *girl* znaczy po prostu dziewczynka.

Babcia dostała od mamy piękny album, do którego kolejno wklejała kolorowe zdjęcia rodzinne i podpisywała je wraz z datą, aby nie zapomnieć, kiedy były zrobione. Z tego albumu była zawsze bardzo dumna.

Znany polski aktor i kabareciarz Wiesław Michnikowski w swej książce *Tani drań** wspomina o tym, iż takie prywatne archiwum może mieć bardzo ważne znaczenie dla następnego pokolenia. „Z moim kolegą Januszem Penszko koło 1943 roku zorganizowaliśmy studio fotograficzne. Ciemnię, w której wywoływaliśmy fotografie, urządziliśmy w łazience. Ta pracownia działała czasem w moim mieszkaniu, czasem u Janusza. Robiliśmy zdjęcia rodzinie, znajomym i znajomym znajomych. Myślałem, że te wszystkie zdjęcia zaginęły, ale po wojnie syn Janusza przysłał mi odnaleziony u niego w domu album ze zrobionymi wtedy przez nas fotografiami”.

Któregoś dnia rozpoczęliśmy sesję fotograficzną na podwórku, na którym wylegiwały się koty. Dziadek wyjaśnił, że koty są użyteczne, bo łowią myszy, szczury i inne szkodniki polne. Myszy zaś mogły dokonać spustoszenia w stodole lub innych gospodarczych budynkach. Takich budynków było parę koło domu, bo dziadkowie od dawna prowadzili własne gospodarstwo rolne. Przechowywało się tam siano dla konia, ziemniaki i warzywa oraz sprzęt rolniczy. W szopie stały rowery i narzędzia ogrodnicze: grabie, kopaczki, łopaty i kosze lub drewniane skrzynki na owoce i warzywa.

*Wiesław Michnikowski w rozmowie z Marcinem Michnikowskim, *Tani drań*, Prószyński Media S-ka Sp. z o.o., Warszawa 2014, str. 69.

Koty, jako użyteczne zwierzęta, były dobrze traktowane w całej wsi. Prawie w każdym domu kot był po to, żeby łapał myszy.

Ale chyba u dziadków było ich najwięcej.

Dlatego w czasie kolejnych wakacji powstawały nowe zdjęcia kotów, które mieszkały w gospodarstwie dziadków.

Mimi



Mimi to najstarsza kotka, która mieszkała w stodole. Była bardzo spokojna i towarzyska. Lubiała przebywać blisko domu. Często przychodziła pod okna lub drzwi i siedziała cichutko lub drzemała. Oczywiście bardzo chciałaby mieszkać w domu, ale miejsce kotów było na dworze albo w stodole.